

Czyta: #TataMariusz



Artur Oppman

Legendy warszawskie

Zbójcy

Wszelkie kopiowanie i rozpowszechnianie utworów w jakiegokolwiek formie bez zgody autora będzie rodziło skutki prawne na podstawie ustawy z dn. 4 lutego 1994 r. o Prawie autorskim i prawach pokrewnych.



Czyta:
#TataMariusz

Dwieście lat temu Nowe Miasto warszawskie otoczone było wielkimi moczarami i gęstymi zaroślami, w których nierzadko ukrywał się zwierz dziki, tak, że zdarzało się nieraz, iż mroźną zimą głodne wilki przybiegały na rynek nowomiejski i wyły po nocach przed jatkami rzeźników.

W czas takiej to właśnie zimy długotrwałej, w wieczór zawieruchą śnieżną dmący, do jednej z gospód, w pobliżu kościoła Panny Marii, przywłókt się stary, obdarty, skulony z zimna, dziad.

Rozejrzał się po izbie obszernej, o gościnę pokornie poprosił, że to — powiada — nie ma się gdzie schronić, a głodny jest taki, iż nogi go już nosić nie zdołają.

Choć żebrakowi źle jakoś z oczu patrzyło, miłosierni gospodarstwo nie odmówili mu przytułku. Jeść dali, pić dali i na ciepłym przypiecku przespać się pozwolili.

Wlazł ci dziadyga za piec, postękał, pokwękał i po krótkiej chwili zasnął widocznie, bo jął chrapać, aż grzmiało.

A że to noc już na świat boży zapadła, tedy i gospodarstwo, pobożnie odmówiwszy pacierze, do snu się ułożyli, a też i dziewczyna służebna, gdy statki zmyła i podłogę zamiotła, wlazła pod pierzynę do swojego łóżka i już, już sen jej padał na oczy, gdy, nagle a niespodziewanie, coś ją tknęło, coś jakby zaszeptało: „Nie śpij, dziewucho, czuwaj...”

Przeleżała się dziewczynina, ale nic, czuwa, jak jej ten głos wewnętrzny rozkazał. Modli się po cichutku, w sobie, i czeka, co to z tego będzie.

Minęła tak dobra godzina, a może i więcej, aż ci tu słyszy dziewucha: ktoś się za piecem gramoli. Wyjrzała jednym okiem spod pierzyny, niewiele widzi, bo ciemno, ale tak myśli, że to chyba dziad ów zza pieca wyłazi.

Jakoż tak było w istocie. Dziad to, przybłąda, na czworakach idzie cichuteńko, podszedł do stołu, podniósł się, świeczkę zapalił, postawił na stole i rozejrzał się wokół.

Panie Boże miłosierny! Straszne rzeczy! Dziadzisko już nie skulone, nie takie stare, jak się wydawało. Wyprostował się



teraz, z ogromną jakością, nóż długi a ostry w ręku trzyma, ślepią mu błyszczą, jak wilkowi. Zbójca!

Dziewuszyśko zatrzęśto się ze strachu, ale zaraz pomyślała sobie: jak zobaczy, że nie śpię, zabije mnie, trzeba leżeć cicho, ani tchnąć.

A wiedziała też dobrze dziewczyna, co to za świeczka taka: z trupiego łaju! Taka świeczka ma tę własność, że póki się pali, nikt ze śpiących w izbie ocknąć nie może; obudzi się dopiero, gdy świeca zgaśnie. Okropieństwo!

Rozejrzał się tedy ów zbójca, pomedytował chwilę i sunie bez szelestu, jak zły duch, naprzód do gospodarstwa, zobaczyć, czy śpią mocno?

Pochylił się nad nimi, a nóż wzniesiony w garści trzyma, popatrzył, posłuchał: spali.

Więc lezie pomaleńku, wprost ku łóżku dziewczyny służebnej. Uniósł pierzynę z jej głowy, przygląda się, a dziewczucha dech zataiła w sobie, ani drgnie. Coś się zbójowi w niej nie spodobało, coś widać, psi syn, zauważył takiego, że niedowierza; schylił się, nastuchuje, czy równo oddycha: równo.

Ehe! Nie taki on głupi! Nie dosyć mu na tym! Uszczypnął ją w policzek: nic! Wyciągnął szpilkę z kapoty, ukłut: nic! Jeszcze mu mało!

Wrócił się do stołu, wziął świeczkę, skrada się, a wciąż spoziera na twarz dziewczyny. No! niema co! śpi!

— Czekaj, bestyjo — powiada — albo ty śpisz, albo nie śpisz; jeśli nie śpisz, to zaraz mi tu narobisz krzyku.

Stanął przy nogach łóżka i nuż bosa stopy służącej przypiekać oną świeczką z trupiego łaju. Przypieka, aż skóra skwierczy, aż bąble wyskakują. Dziewucha, jak nieżywa; ani się ruszy.

— Śpi, jak zarżnięta — mruknął zbójca. — Takiego bólu żaden człek bez wrzasku nie wytrzyma.

A ta dziewczyna taką siłę miała i taką wytrzymałość, iż ową mękę śmiało przeniosta, że to niby i jej życie i jej gospodarstwa pocziwych od udawania, jako śpi, zależało.



Uspokoił się zbójca, stawia świeczkę na nowo na stole, a sam drzwi cicho, cichutko otwiera i myk na dwór, po swoich kamratów.

Ale już dziewczyna zerwała się z łóżka, na bałkach, bo chodzić nie mogła od bólu okropnego, do furty się dowlokła i żelaznym drągiem ją zawarta.

Jeszcze nie zdążyła wyniść z sieni, aż ci tu pięciu zbójów za drzwiami staje i chce furtę otworzyć.

Ale! gadaj mu tam! Otwieraj, kiedy zamknięte! A wyłamywać furtę bali się, bo kościół blisko i hałas mógłby kto ze służby kościelnej usłyszeć!

Słyszysz dziewczucha, jak gadają:

— A mówieś, że otwarte. Czemuś nas zwiódł?

— Nie zwiódłem! Było otwarte! Ino wiem, jak się to stało: to ta szelma dziewczyna nie spała i furtę zawarta.

— Nie ona szelma, tylko ty szelma, żeś się nie poznał i dziewczuchy nie zarznął!

— Ano, niema co gadać po próznicy! Na nic dziś cała robota. Chodźmy do lasu! Ale dziewczusze przy okazji odptacim!

Poszli. A służąca wstała, świeczkę czarodziejską zgasła, zażegła łuczywo, zbudziła gospodarstwo i opowiedziała im rzecz całą.

Chorowała długo, a gdy wyzdrowiała wreszcie, przeniosta się aż na Litwę, bojąc się zemsty owych zbójów przeklętych.

